

NICHOLAS SPARKS

OSTATNIA PIOSENKA



PROLOG

Ronnie

Wyglądając przez okno sypialni, Ronnie zastanowiła się, czy pastor Harris jest już w kościele. Uznała, że musi być, i gdy obserwowała fale, które załamywały się na plaży, zadała sobie pytanie, czy był jeszcze w stanie dostrzec grę światła wpadającego przez witraż nad jego głową. Może nie — witraż zamontowano przecież ponad miesiąc temu, a pastor był pewnie zbyt zajęty, aby jeszcze zwracać na niego uwagę. Mimo to miała nadzieję, że ktoś, kto przyjeżdża do miasteczka, zagląda do kościoła i zdumiewa się tak samo jak ona, gdy tamtego zimnego listopadowego dnia pierwszy raz zobaczyła światło zalewające wnętrze. Liczyła też na to, że gość poświęci chwilę uwagi temu witrażowi i będzie podziwiał jego piękno.

Nie spała od godziny, ale nie była jeszcze gotowa, żeby rozpocząć dzień. Święta miały inną atmosferę tego roku. Poprzedniego dnia zabrała młodszego brata, Jonah *, na spacer po plaży. Tu i tam na tarasach domów, które mijali, stały bożonarodzeniowe choinki. O tej porze roku mieli plażę

* Jonah wymawia się Dżonna.

prawie wyłącznie dla siebie, ale Jonah nie wykazywał zainteresowania ani falami, ani mewami, które tak go fascynowały jeszcze kilka miesięcy wcześniej. Chciał natomiast pójść do warsztatu i zaprowadziła go tam, chociaż przebywał w środku zaledwie parę minut, a potem wyszedł bez słowa.

Na półce obok niej leżał stos oprawionych w ramki zdjęć, które wraz z innymi przedmiotami zabrała z alkowy tamtego rana. Oglądała je w ciszy, dopóki nie przerwało jej pukanie do drzwi. Mama wetknęła głowę do pokoju.

— Chcesz śniadanie? Znalazłam w kredensie jakieś płatki zbożowe...

— Nie jestem głodna, mamu.

— Musisz jeść, kotku.

Ronnie wciąż spoglądała na fotografie, ale nic nie widziała.

— Nie miałam racji, mamu. I nie wiem, co teraz zrobić.

— Chodzi ci o tatę?

— O wszystko.

— Chcesz o tym porozmawiać?

Ponieważ Ronnie nie odpowiedziała, mama przeszła przez pokój i usiadła przy niej.

— Czasami rozmowa pomaga. Jesteś taka milcząca od kilku dni.

Przez chwilę Ronnie przytłoczyły wspomnienia: pożar i potem odbudowa kościoła, okno witrażowe, piosenka, którą wreszcie skończyła. Pomyślała o Blaze, Scotcie i Marcusie. I o Willu. Miała osiemnaście lat i wspominała lato, podczas którego ją zdradzono i aresztowano, lato, podczas którego się zakochała. To nie było tak dawno temu, a jednak czasami odnosiła wrażenie, że jest już kimś zupełnie innym.

Westchnęła.

— A co z Jonah?

— Nie ma go. Poszedł z Brianem do sklepu z butami. Jest

jak szczeniaczek. Stopy rosną mu szybciej niż reszta ciała — odparła mama.

Ronnie uśmiechnęła się lekko, ale ten uśmiech zniknął z jej twarzy tak szybko, jak się pojawił. W milczeniu, które zapadło, poczuła, że mama zbiera jej długie włosy i wiąże w luźny kucyk na plecach. Robiła to, od kiedy Ronnie była mała. Dziwne, ale wciąż działało to na nią kojąco. Choć nigdy by się do tego nie przyznała.

— Coś ci powiem — ciągnęła mama. Podeszła do szafy i położyła na łóżku walizkę. — Może porozmawiamy, gdy będziesz się pakować?

— Nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć.

— Może od początku? Jonah wspomniał coś o żółwiach.

Ronnie splótła ramiona przed sobą; wiedziała, że historia nie zaczęła się od tego.

— Nie. Chociaż nie było mnie tu wtedy, myślę, że lato tak naprawdę zaczęło się od pożaru.

— Jakiego pożaru? — zapytała mama.

Ronnie sięgnęła ręką ku fotografiom na półce i ostrożnie wyjęła pognieciony artykuł z gazety, wetknięty między dwa zdjęcia w ramkach. Podała matce żółknący wycinek.

— Tego pożaru — wyjaśniła. — W kościele.

Nielegalne fajerwerki prawdopodobną przyczyną pożaru kościoła

Ranny pastor

Wrightsville Beach, Karolina Północna. W sylwestra pożar strawił kościół baptystów i policja podejrzewa, że przyczyną były nielegalne fajerwerki.

„Strażacy, wezwani telefonicznie przez anonimową osobę, przyjechali do kościoła przy plaży tuż po północy

i zobaczyli, że z zaplecza budynku wydobywają się płomienie i dym” — poinformował Tim Ryan, szef straży pożarnej w Wrightsville Beach. Po ugaszeniu ognia znaleziono pozostałości rakiety butelkowej, rodzaju sztucznych ogni.

Kiedy wybuchł pożar, w kościele przebywał pastor Charlie Harris, który doznał na ramionach i dłoniach poparzeń drugiego stopnia. Przewieziono go do New Hanover Regional Medical Center i obecnie znajduje się na oddziale intensywnej opieki.

Był to już drugi pożar kościoła w New Hanover County w ostatnich miesiącach. W listopadzie całkowicie zniszczeniu uległ przybytek Kościoła Przymierza Dobrej Nadziei w Wilmington. „Policja ma pewne podejrzenia, uważa, że mogło to być podpalenie” — mówi Ryan.

Świadkowie twierdzą, że niespełna dwadzieścia minut przed wybuchem pożaru widzieli kogoś, kto puszczał sztuczne ognie na plaży za kościołem, prawdopodobnie dla uczczenia Nowego Roku. „Rakiety butelkowe są zakazane w Karolinie Północnej i stanowią szczególne zagrożenie podczas panującej ostatnio suszy — ostrzegął Ryan. — Ten pożar dowodzi dlaczego. W szpitalu leży jego ofiara, a po kościele zostały zgliszcza”.

Przeczytawszy artykuł, mama uniosła głowę i napotkała wzrok Ronnie. Ta się zawahała; potem z westchnieniem zaczęła opowiadać historię, która wciąż wydawała jej się zupełnie bez sensu, nawet z perspektywy czasu.

Ronnie

Sześć miesięcy wcześniej

Ronnie siedziała zgarbiona na przednim fotelu samochodu i nie mogła zrozumieć, dlaczego rodzice tak jej nienawidzą.

Ponieważ tylko to mogło tłumaczyć, czemu wylądowała tutaj, w odwiedzinach u ojca, w tej zapomnianej przez Boga i ludzi dziurze, zamiast spędzać wakacje z przyjaciółmi w domu na Manhattanie.

Nie, wykreślić to. To nie były zwykłe odwiedziny. Odwiedziny trwają weekend albo dwa, może nawet tydzień. Wizytę jeszcze by chyba wytrzymała. Ale siedzieć tu do końca sierpnia? Przez prawie całe lato? To było zesłanie i przez niemal dziewięć godzin, jakie trwała jazda tutaj, czuła się jak więzień, którego przenoszą do zakładu karnego na prowincji. Nie mieściło jej się w głowie, że mama skazała ją na to.

Była tak pogrążona w swoim nieszczęściu, że dopiero po chwili rozpoznała 16. sonatę C-dur Mozarta. Był to jeden z utworów, które wykonała w Carnegie Hall przed czterema laty, i wiedziała, że mama nastawiła go, gdy Ronnie spała. Niepotrzebnie.

Wyciągnęła rękę i wyłączyła odtwarzacz.

— Dlaczego to robisz? — zapytała mama, marszcząc brwi. — Lubię słuchać, jak grasz.

— A ja nie.

— To może tylko przyciszę?

— Przestań, mamó, dobra? Nie mam nastroju.

Spojrzała za okno; wiedziała doskonale, że mama zacisnęła usta, tak że przypominały teraz kreskę. Ostatnio często to robiła. Jakby jej wargi były namagnetyzowane.

— Chyba widziałam pelikana, gdy przejeżdżaliśmy przez most do Wrightsville Beach — zauważyła mama z wymuszoną wesołością.

— Jezu, to świetnie. Może powinnaś zadzwonić po poskramiacza krokodyli.

— On nie żyje — włączył się Jonah; jego głos dochodził z tylnego siedzenia, zlewał się z dźwiękami konsoli Game Boy. Jej dziesięcioletni męczący brat był od tej gry wręcz uzależniony. — Nie pamiętasz? — ciągnął. — To było naprawdę smutne.

— Oczywiście, że pamiętam.

— Zachowałam się tak, jakbyś nie pamiętała.

— Pamiętałam.

— To dlaczego powiedziałaś to, co powiedziałaś?

Nie miała ochoty się w to bawić. Brat zawsze musiał mieć ostatnie słowo. Doprowadzało ją to do szału.

— Przespałaś się chociaż trochę? — zapytała mama.

— Dopóki nie wjechałaś na ten wybój. Zresztą wielkie dzięki. Prawie rozbiłam sobie głowę o szybę.

Mama nie spuszczała wzroku z drogi.

— Cieszę się, że drzemka wprawiła cię w lepszy humor.

Ronnie strzeliła z gumy do życia. Wiedziała, że mama tego nie znosi, i głównie dlatego robiła to niemal bez przerwy, gdy jechały I-95. Międzystanowa, jej skromnym zdaniem,

była najnudniejszą drogą, jaką kiedykolwiek zbudowano. Chyba że ktoś lubił tłuste żarcie w fast foodach, ohydne kible na parkingach i miliony sosen, które potrafiły każdego uspić szpetną monotonią.

Dokładnie to samo powiedziała w Delaware, Marylandzie i Wirginii, ale mama za każdym razem ignorowała te komentarze. Chociaż starała się, żeby to była miła podróż, bo miały nie widzieć się przez długi czas, nie przepadała za rozmowami w samochodzie. Nie czuła się dobrze za kierownicą, zresztą trudno się dziwić, bo zwykle jeździły metrem albo taksówkami, gdy musiały dokąś się dostać. Ale w mieszkaniu... to zupełnie co innego. Tam mama lubiła sobie pogadać, tak że w ostatnich paru miesiącach dozorca przychodził dwukrotnie i prosił, żeby zachowywały się ciszej. Mamie pewnie się wydawało, że im głośniej będzie mówić o stopniach Ronnie, jej przyjaciółach czy o tym, że wraca za późno do domu, a zwłaszcza o „zajściu”, tym bardziej Ronnie się przejmie.

No dobra, nie była najgorszą matką. Naprawdę nie. I w chwilach łaskawości Ronnie przyznawała nawet, że — jak na mamę — jest całkiem dobra. Utknęła jednak w dziwnej pętli czasowej, w której dzieci nie dorastają, i Ronnie pożałowała po raz setny, że nie urodziła się w maju zamiast w sierpniu. Skończyłaby właśnie osiemnaście lat i mama nie mogłaby jej do niczego zmusić. Pod względem prawnym Ronnie byłaby już na tyle dorosła, żeby decydować o sobie, a powiedzmy, że przyjazd tutaj nie należał do jej priorytetów.

Na razie jednak nie miała w tej sprawie nic do gadania. Ponieważ nie skończyła jeszcze osiemnastu lat. Przez ten głupi kalendarz. Ponieważ mama poczęła ją trzy miesiące wcześniej, niż powinna. Co to oznaczało? Że choćby błagała, krzyczała i wyrzekała na wakacyjne plany, nie mogła nic zrobić. Ronnie i Jonah mieli spędzić wakacje u taty i koniec

dyskusji. Żadnych „jeśli”, „i”, „ale”, jak postawiła sprawę mama. Ronnie z biegiem czasu znenawidziła to jej powiedzenie.

Po zjeździe z mostu zaczął się letni korek i samochody wlokły się jeden za drugim. Po jednej stronie między domami Ronnie dostrzegła ocean. Hurra! Jakby to mogło wyrzucić na niej wrażenie.

— Dlaczego nam to robisz? — jęknęła kolejny raz.

— Już o tym rozmawialiśmy — odpowiedziała mama. — Musisz spędzić trochę czasu z ojcem. On tęskni za tobą.

— Ale dlaczego od razu całe lato? Nie wystarczyłoby parę tygodni?

— Potrzebujecie więcej niż paru tygodni, żeby pobyć razem. Nie widziałas go od trzech lat.

— Nie moja wina. To on od nas odszedł.

— Tak, ale nie odbierasz jego telefonów. I za każdym razem, gdy przyjeżdżał do Nowego Jorku, żeby spotkać się z tobą i Jonah, ignorowałaś go i umawiałaś się z przyjaciółmi.

Ronnie znowu strzeliła z gumy. Kątem oka zauważyła, że mama się krzywi.

— Nie chcę go widzieć ani z nim rozmawiać — oznajmiła.

— Staram się wam jakoś pomóc, nie widzisz? Twój ojciec to dobry człowiek i cię kocha.

— To dlaczego nas porzucił?

Zamiast odpowiedzieć, mama spojrzała w lusterko wsteczne.

— Ty już nie możesz się doczekać, kiedy przyjedziemy na miejsce, prawda, Jonah? — zapytała.

— Żartujesz? Będzie super!

— Cieszę się, że jesteś dobrze nastawiony. Może siostrze udzieli się trochę twojego entuzjazmu.

Prychnął.

— Może.

— Po prostu nie rozumiem, dlaczego nie mogę spędzić lata z przyjaciółmi — poskarżyła się Ronnie, wracając do tematu. Jeszcze się nie poddała. Choć wiedziała, że szanse są niemal równe zeru, wciąż liczyła, że jeszcze uda jej się nakłonić mamę, aby zawróciła.

— Dlaczego nie powiesz, że wolałabyś spędzać całe noce w klubach? Nie jestem naiwna, Ronnie. Wiem, co się dzieje w takich miejscach.

— Nie robię nic złego, mamó.

— A co z twoimi stopniami? Ze szlabanem na wychodzenie? I...

— Czy możemy porozmawiać o czymś innym? — przerwała Ronnie. — Dlaczego to takie ważne, żebym pobyła z ojcem?

Matka pominęła to milczeniem. Miała powody. Odpowiadała na to pytanie milion razy, chociaż Ronnie nie chciała przyjąć wyjaśnienia do wiadomości.

Samochody wreszcie ruszyły i ujechali pół przecznicy, zanim zatrzymali się znowu. Matka odkręciła szybę i usiłowała spojrzeć na sznur samochodów przed nią.

— Ciekawe, co się stało — mruknęła. — Naprawdę wszystko stoi.

— To przez plażę — podsunął Jonah. — Przed plażą zawsze się korkuje.

— Jest trzecia w niedzielę. Nie powinno być takiego tłoku.

Ronnie podciągnęła nogi, myśląc z niechęcią o swoim życiu. O wszystkim wokół.

— Mamó? — zapytał Jonah. — A tata wie, że Ronnie aresztowano?

— Uhm. Wie — odparła matka.

— I co zrobi?

Tym razem odpowiedziała Ronnie:

— Nic nie robi. Zawsze obchodziła go tylko gra na fortepianie.

*

Ronnie nienawidziła fortepianu i przysięgła sobie, że nigdy więcej na nim nie zagra; nawet jej najstarsi przyjaciele uważali to postanowienie za dziwne, bo była związana z tym instrumentem przez większą część życia. Grać na nim uczył ją ojciec, kiedyś nauczyciel w szkole Juilliarda, i przez wiele lat pragnęła nie tylko występować, ale także komponować z nim muzykę.

I dobrze jej szło. Nawet bardzo dobrze, a ponieważ ojciec pracował w konserwatorium Juilliarda, administracja i reszta nauczycieli doskonale o tym wiedzieli. Wieść o jej talencie powoli rozeszła się w małym światku wielbicieli muzyki klasycznej, w którym toczyło się życie ojca. Niebawem w prasie muzycznej pojawiło się o niej kilka wzmianek, potem stosunkowo długi tekst w „New York Timesie” o jej współpracy z ojcem, i w efekcie dostała propozycję występu na koncercie z cyklu *Młodzi wykonawcy* w Carnegie Hall przed czterema laty. Była, jak oceniała, u szczytu kariery. I nie myliła się; zdawała sobie sprawę z tego, co osiągnęła. Wiedziała, jak rzadka trafiła jej się okazja, ale ostatnio zaczęła się zastanawiać, czy ofiary, jakie poniosła, były tego warte. W końcu nikt oprócz rodziców pewnie nawet nie pamiętał jej występu. Czy w ogóle kogoś to obchodziło? Ronnie przekonała się, że jeśli się nie ma popularnego wideo na YouTube ani nie występuje przed tysięczną widownią, talent muzyczny nic nie znaczy.

Czasami żałowała, że ojciec nie posłał jej na lekcje gry na gitarze elektrycznej. Albo chociaż śpiewu. Co dalej miała zrobić z umiejętnością gry na fortepianie? Uczyc muzyki

w miejscowej szkole? Czy występować w jakimś holu hotelowym dla gości, którzy się meldują i wymeldowują? A może pójść śladem ojca i wieść równie ciężkie życie jak on? Dokąd zaprowadziła go gra na fortepianie? Rzucił pracę w Juilliardzie, żeby jeździć po kraju jako pianista koncertowy, a skończył w obskurnych salkach, gdzie występował przed publicznością, która ledwie zapełniała kilka pierwszych rzędów. Nie było go w domu przez czterdzieści tygodni w roku, wystarczająco długo, żeby wpłynęło to na jego małżeństwo. Zanim się zorientowała, jak do tego doszło, mama bez przerwy podnosiła głos, a tata jak zwykle zamykał się w sobie, aż któregoś razu po prostu nie wrócił z przedłużonej trasy koncertowej na południe. Z tego, co wiedziała, wcale wtedy nie pracował. Nawet nie udzielał prywatnych lekcji.

Na co ci to było, tato?

Pokręciła głową. Naprawdę nie chciała tu być. Bóg jej świadkiem, że nie zamierzała mieć z tym wszystkim nic wspólnego.

— Hej, mamoo! — zawołał Jonah. — Co tam jest? Czy to nie diabelski młyn?

Mama odwróciła się, żeby zobaczyć coś zza minivana, który stał na sąsiednim pasie.

— Chyba tak, kochanie — potwierdziła. — Musi tu być wesołe miasteczko.

— Możemy tam pójść? Gdy już zjemy razem obiad?

— Będziesz musiał zapytać tatę.

— Uhm, a później może posiedzimy przy ognisku i upieczemy prawoślaz — dodała Ronnie. — Jak jedna wielka szczęśliwa rodzina.

Tym razem oboje zostawili to bez komentarza.

— Myślisz, mamoo, że można tam się jeszcze na czymś przejechać? — zapytał Jonah.

— Na pewno. A jeśli tata nie zechce się z tobą wybrać, to na pewno siostra nie odmówi.

— Fantastycznie!

Ronnie skuliła się na fotelu. Przypuszczała, że mama wyjedzie z czymś takim. To wszystko było zbyt dobijające, żeby mogło pomieścić się w głowie.

Steve

Steve Miller grał na fortepianie w skupieniu, pełnym jednak podniecenia, bo w każdej chwili spodziewał się przyjazdu dzieci.

Fortepian stał w małej alkowie za niedużym salonem w bungalowie przy plaży, który teraz nazywał domem. Za nim znajdowały się przedmioty, które reprezentowały jego dotychczasowe życie. Niewiele ich było. Nie licząc fortepianu, Kim zdołała spakować te rzeczy do jednego pudła, a on w niespełną godzinę poustawiał je w nowym miejscu. Na przykład zdjęcie z ojcem i matką z czasów, gdy był jeszcze mały, oraz zdjęcie jego jako nastolatka grającego na pianinie. Wisiały między dwoma dyplomami, które zdobył, jeden na Chapel Hill, a drugi na Boston University; pod nimi widniały podziękowania za piętnastoletnią pracę w szkole Juilliarda. Obok okna znajdowały się trzy oprawione w ramki programy jego tras koncertowych. Najważniejsze jednak były zdjęcia Jonah i Ronnie — przyklejone do ściany czy stojące w ramkach na fortepianie — i za każdym razem gdy na nie patrzył, przypominał sobie, że

mimo jego najlepszych intencji nic nie potoczyło się tak, jak oczekiwał.

Słońce późnego popołudnia przenikało przez okiennice, w pokoju było duszno i Steve czuł, że na czoło występują mu kropelki potu. Na szczęście bóle brzucha trochę mu przeszły od rana, ale denerwował się już od kilku dni i wiedział, że powrócą. Zawsze miał kłopoty z przewodem pokarmowym: po dwudziestce cierpiał na wrzody żołądka i nawet wylądował w szpitalu z powodu zapalenia uchyłka; po trzydziestce usunięto mu wyrostek robaczkowy, który pękł, gdy Kim była w ciąży z Jonah. Jadł antycydy jak cukierki, przez lata brał nexium i chociaż wiedział, że powinien lepiej się odżywiać i więcej ćwiczyć, wątpił, żeby coś z tego mu pomogło. Cała jego rodzina chorowała na żołądek.

Bardzo odmieniła go śmierć ojca przed sześcioma laty i od pogrzebu czuł się tak, jakby zaczęło się dla niego końcowe odliczanie. W pewnym sensie pewnie tak było. Pięć lat temu rzucił posadę w Juilliardzie, a po roku postanowił spróbować szczęścia jako pianista koncertowy. Przed trzema laty oboje z Kim postanowili się rozwieść; niecałe dwanaście miesięcy później propozycje występów stały się rzadsze, aż przestały napływać zupełnie. W zeszłym roku przeprowadził się tutaj, do miasteczka, w którym się wychował, do miejsca, którego nie spodziewał się już zobaczyć. Teraz miał spędzić lato ze swoimi dziećmi i choć próbował sobie wyobrazić, jak będzie jesienią, po powrocie Ronnie i Jonah do Nowego Jorku, wiedział tylko, że pożółkną i poczerwienieją liście i że rano z ust będą wydobywać się obłoczki pary. Już dawno przestał przewidywać przyszłość.

Nie przejmował się tym. Zdawał sobie sprawę, że wszelkie przewidywania są bezcelowe, zresztą ledwie potrafił zrozumieć przeszłość. Ostatnio wiedział na pewno jedynie to,

że jest całkiem zwykłym człowiekiem w świecie, który uwielbia niezwykłość, i ta świadomość budziła w nim lekkie rozczarowanie życiem, które dotąd prowadził. Co jednak mógł na to poradzić? W przeciwieństwie do Kim, która była otwarta i towarzyska, zawsze mało mówił i wtapiał się w tłum. Mimo że wykazywał pewne zdolności jako muzyk i kompozytor, brakowało mu charyzmy, talentu showmana czy tego czegoś, co wyróżnia wykonawcę spośród innych. Czasami sam nawet przyznawał, że jest raczej obserwatorem życia niż jego uczestnikiem, i w chwilach bolesnej szczerości stwierdzał, że poniósł porażkę we wszystkich ważnych dziedzinach. Miał czterdzieści osiem lat. Jego małżeństwo się rozpadło, córka go unikała, a syn dorastał bez niego. Cofając się myślą, wiedział, że sam jest sobie winien, i nade wszystko pragnął poznać odpowiedź na pytanie, czy ktoś taki jak on może jeszcze doświadczyć obecności Boga.

Nie wyobrażał sobie, że dziesięć lat temu mógłby zastanawiać się nad czymś takim. Czy nawet dwa lata temu. Ale w średnim wieku, jak czasami zauważał, stał się dziwnie refleksyjny. Chociaż kiedyś sądził, że to zasługa muzyki, którą komponował, teraz był zdania, że się mylił. Im dłużej nad tym rozmyślał, tym bardziej uświadamiał sobie, że muzyka zawsze była dla niego raczej ucieczką od świata niż sposobem na głębsze przeżywanie go. Być może przeżywał namiętności i katharsis poprzez muzykę Czajkowskiego albo miał poczucie, że czegoś dokonał, pisząc własne sonaty, ale teraz wiedział, że jego muzyka ma mniej wspólnego z Bogiem niż z egoistycznym pragnieniem ucieczki.

Wydawało mu się, że prawdziwa odpowiedź kryje się w miłości, którą darzył dzieci, i bólu, jaki odczuwał, gdy

budził się w cichym domu i uświadamiał sobie, że nie ma ich przy sobie. Ale nawet wtedy wiedział, że jest coś jeszcze.

I liczył, że dzieci pomogą mu to odnaleźć.

*

Kilka minut później zauważył błysk słońca odbijającego się od przedniej szyby zakurzonego kombi, które stanęło przed domem. Oboje z Kim kupili ten wóz przed wieloma laty z myślą o weekendowych wypadach do Costco i innych rodzinnych wycieczkach. Pomyślał przelotnie, czy Kim pamiętała o tym, żeby zmienić olej przed wyjazdem albo w ogóle od czasu, gdy od niej odszedł. Pewnie nie, uznał. Nigdy nie miała głowy do takich spraw, dlatego zwykle on się nimi zajmował.

Jednakże ta część jego życia się skończyła.

Wstał z taboretu i gdy wszedł na ganek, Jonah już wysiadł z samochodu i biegł ku niemu. Był rozczochrany, okulary mu się przekrzywiły, a ręce i nogi miał chude jak patyczki. Steve poczuł, że ściska go w gardle, i przypomniał sobie, jak bardzo tęsknił za synkiem w ciągu ostatnich trzech lat.

— Tato!

— Jonah! — odkrzyknął Steve, przechodząc przez kamienisto-piaszczyste podwórko. Kiedy Jonah wpadł mu w objęcia, z trudem utrzymał równowagę. — Ależ urosłeś! — zauważył.

— A ty się skurczyłeś! — odparł Jonah. — Jesteś chudy. Steve uściskał syna i postawił go na ziemię.

— Cieszę się, że przyjechałeś.

— Ja też. Mama i Ronnie kłóciły się przez całą drogę.

— To wcale nie jest śmieszne.

— A tam. Nie zwracałem na nie uwagi. Nawet trochę je podjudzałem.

— Aha.

Jonah podsunął okulary na nos.

— Dlaczego mama nie chciała, żebyśmy przylecieli samolotem?

— A pytałeś ją o to?

— Nie.

— To może powinienes.

— Nieważne. Tak się tylko zastanawiałem.

Steve się uśmiechnął. Już zapomniał, jaki gadatliwy bywa syn.

— To twój dom?

— Tak.

— Fantastyczny.

Steve miał wątpliwości, czy Jonah mówi poważnie. Wszystko można by powiedzieć o tym domu, tylko nie to, że jest fantastyczny. Należał do najstarszych budynków w Wrightsville Beach, stał wciśnięty między dwie potężne wille, które w ciągu ostatnich dziesięciu lat wyrosły po obu jego stronach, tak że wydawał się jeszcze mniejszy. Farba, którą był pomalowany, odłaziła, w dachu brakowało coraz więcej gontów, a ganek gnił; nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby rozpadł się w czasie większej burzy, co niewątpliwie ucieszyłoby sąsiadów. Od kiedy Steve tu zamieszkał, nie miał kontaktu z żadnym z nich.

— Tak uważasz? — zapytał synka.

— No! Stoi prawie na plaży. Czego jeszcze można by chcieć? — Jonah wskazał ocean. — Mogę tam pójść?

— Jasne. Tylko uważaj. I zostań za domem. Nie oddalaj się za bardzo.

— Dobra.

Steve patrzył, jak syn odbiega, a potem odwrócił się i zobaczył Kim, która szła już w stronę domu. Ronnie też wysiadła z samochodu, ale stała przy nim.

— Cześć, Kim — rzucił.

— Steve. — Pochyliła się i uściśliła go szybko. — Wszystko dobrze u ciebie? — zapytała. — Chyba schudłeś.

— Nic mi nie jest.

Steve zauważył nad jej ramieniem, że Ronnie powoli ruszyła ku nim. Uderzyło go, jak bardzo się zmieniła od czasu, gdy widział ją na zdjęciu, które Kim przesłała mu e-mailem. Zniknęła typowa mała Amerykanka, jaką pamiętał, a jej miejsce zajęła młoda kobieta z purpurowymi pasmami w długich brązowych włosach, z polakierowanymi na czarno paznokciami, w ciemnym ubraniu. Zauważył znowu, że mimo ewidentnych oznak nastoletniego buntu jest bardzo podobna do matki. To dobrze, pomyślał. Wyglądała ślicznie jak zawsze.

Odchrząknął.

— Cześć, kochanie. Miło cię widzieć.

Ronnie nie odpowiedziała, więc Kim złązała ją:

— Nie bądź niegrzeczna. Ojciec do ciebie mówi. Odpowiedz coś.

Ronnie założyła ramiona na piersi.

— Dobra. Co powiecie na to? Nie zamierzam grać dla ciebie na fortepianie.

— Ronnie! — Steve usłyszał w głosie Kim zniecierpliwienie.

— No co? — Zadarła głowę. — Pomyślałam, że od razu wyjaśnię sprawę.

Zanim Kim zdążyła odpowiedzieć, Steve pokręcił głową. Nie chciał kłótni.

— W porządku, Kim.

— Właśnie, mam. Wszystko w porządku — potwierdziła wyzywająco Ronnie. — Muszę rozprostować nogi. Idę na spacer.

Gdy odeszła, Steve zauważył, że Kim walczy z chęcią przywołania jej. W końcu jednak nic nie powiedziała.

— Długa podróż? — zapytał, żeby odwrócić jej uwagę i poprawić nastrój.

— Nawet nie masz pojęcia jak bardzo.

Uśmiechnął się; łatwo było wyobrazić sobie w tej chwili, że wciąż są małżeństwem, że grają w tej samej drużynie, że wciąż się kochają.

Tylko że oczywiście tak nie było.

*

Po wyładowaniu bagaży Steve poszedł do kuchni, gdzie wydobył kostki lodu ze staroświeckiego pojemnika i wrzucił je do szklanek z różnych kompletów, które zastał na miejscu.

Usłyszał, że Kim wchodzi do kuchni. Wziął dzbanek z mrożoną herbatą, nappełnił nią dwie szklanki i podał byłej żonie jedną z nich. Jonah na zewnątrz albo gonił fale, albo przed nimi uciekał, podczas gdy w górze krążyły mewy.

— Jonah chyba dobrze się bawi — zauważył.

Kim zrobiła krok w stronę okna.

— Od tygodni cieszył się na ten wyjazd. — Zawahała się. — Tęsknił za tobą.

— Ja za nim też tęskniłem.

— Wiem. — Pociągnęła łyk herbaty i rozejrzała się po kuchni. — Więc to twój dom, co? Ma... charakter.

— Mówiąc o charakterze, masz pewnie na myśli przeciekający dach i brak klimatyzacji.

Zdemaskowana Kim posłała mu lekki uśmiech.

— Wiem, że jest skromny — przyznał. — Ale panuje tu cisza i mogę oglądać wschód słońca.

— I kościół pozwala ci mieszkać w nim za darmo?

Steve pokiwał głową.

— Domek należał do Carsona Johnsona, miejscowego artysty, który przekazał go kościołowi. Pastor Harris pozwolił mi tu zostać do czasu, gdy będą gotowi go sprzedać.

— Jakie to uczucie wrócić do domu? Bo kiedyś mieszkali tutaj twoi rodzice, prawda? Trzy przecznice stąd?

Siedem, pomyślał Steve. Ale blisko.

— Normalne. — Wzruszył ramionami.

— Jest tłoczniej. Zmieniło się od czasu, gdy byłam tu ostatnio.

— Wszystko się zmienia. — Oparł się o blat, krzyżując nogi. — To kiedy ten wielki dzień? — zapytał, żeby zmienić temat. — Dla ciebie i Briana?

— Steve... jeśli chodzi o to...

— Nic nie szkodzi. — Uniósł rękę. — Cieszę się, że znalazłaś sobie kogoś.

Kim popatrzyła na niego; najwyraźniej zastanawiała się, czy ma mu wierzyć, czy uznać to za delikatny temat.

— W styczniu — odpowiedziała w końcu. — I chcę, abyś wiedział, że z dziećmi... Brian nie udaje kogoś, kim nie jest. Polubiłbyś go.

— Na pewno. — Napił się herbaty i odstawił szklanekę. — A jaki dzieci mają do niego stosunek?

— Jonah chyba go lubi, ale on lubi wszystkich.

— A Ronnie?

— Dogaduje się z nim, tak jak dogaduje się z tobą.

Zaśmiał się, ale zauważył jej zmartwioną minę.

— Jak ona się czuje?

— Nie wiem. — Westchnęła. — Myślę, że sama też nie wie. Weszła w trudny okres, ma humory. Wraca do domu później, niż się umówiliśmy, a kiedy próbuję z nią porozmawiać, odpowiada tylko „wszystko jedno”, „jak chcesz” i tak dalej. Przypisuję to jej wiekowi, bo pamiętam, jak to

było... ale... — Pokręciła głową. — Widziałeś, jak jest ubrana? Te jej włosy, okropny tusz do rzęs?

— Uhm.

— I co?

— Mogłoby być gorzej.

Kim otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nic się z nich nie wydobyło i Steve utwierdził się w przekonaniu, że ma rację. Niezależnie od tego, przez jaki okres przechodziła córka i jakie obawy żywiła Kim, Ronnie mimo wszystko była dawną Ronnie.

— Pewnie tak — przyznała Kim, a potem pokręciła głową. — Hm, wiem, że masz słuszość. Tylko ostatnio była taka trudna. Czasami bywa miła jak kiedyś. Na przykład z Jonah. Chociaż żyją z sobą jak pies z kotem, w każdy weekend Ronnie zabiera go do parku. A kiedy miał problemy z matematyką, co wieczór pomagała mu w nauce. Co jest o tyle dziwne, że sama ledwie zalicza swoje przedmioty. I nie mówiłam ci, ale w styczniu posłałam ją na SAT*. Udało jej się odpowiedzieć błędnie na każde pytanie. Wiesz, jakim trzeba być byстрыm, żeby źle odpowiedzieć na każde pytanie?

Kiedy Steve się roześmiał, Kim ściągnęła brwi.

— To nie jest śmieszne.

— W pewnym sensie tak.

— To nie ty musiałeś męczyć się z nią przez ostatnie trzy lata.

Zamilkł skarcony.

— Masz rację. Przepraszam. — Znowu wziął do ręki szklankę. — A co powiedział sędzia o tej kradzieży w sklepie?

— Tylko to, co ci mówiłam przez telefon. — Westchnęła

* Scholastic Aptitude Test (ang.) — egzamin sprawdzający zdolności naukowe kandydata na studia wyższe.

z rezygnacją. — Jeśli nie wpakuje się w następne kłopoty, usuną to z jej akt. Ale jeżeli znowu popełni jakieś przestępstwo... — Nie dokończyła.

— Martwisz się — zaczął.

Kim się odwróciła.

— To nie pierwszy raz i w tym cały kłopot — wyjaśniła. — Przyznała się, że w zeszłym roku ukradła bransoletkę, a teraz powiedziała, że kupowała dużo rzeczy w drogerii i nie mogła ich utrzymać w rękach, więc wsadziła szminkę do kieszeni. Za resztę zapłaciła i kiedy ogląda się zapis z kamery, rzeczywiście wygląda to na zwykłą pomyłkę, ale...

— Ale nie masz pewności.

Kim nie odpowiedziała i Steve pokręcił głową.

— Przecież nie znajdzie się wśród poszukiwanych listem gończym. Pomyliła się po prostu. Zawsze miała dobre serce.

— To nie znaczy, że teraz nie kłamie.

— Ale nie znaczy też, że skłamała.

— Więc jej wierzysz? — Jej twarz wyrażała jednocześnie nadzieję i sceptycyzm.

Zastanowił się nad swoimi odczuciami wobec tego zdarzenia, jak już z dziesięć razy od czasu, gdy Kim mu o nim powiedziała.

— Uhm — potwierdził. — Wierzę jej.

— Dlaczego?

— Bo to dobry dzieciak.

— Skąd wiesz? — zapytała ostro. Po raz pierwszy sprawiała wrażenie zirytowanej. — Kiedy ostatnio miałaś z nią do czynienia, kończyła podstawówkę. — Odwróciła się od niego i splatając ramiona, spojrzała za okno. Gdy odezwała się znowu, w jej głosie brzmiała gorycz. — Mogłeś wrócić. Mogłeś znowu uczyć w Nowym Jorku. Nie musiałeś jeździć po całym kraju, przeprowadzać się tutaj... byłbyś częścią ich życia.

Jej słowa go dotknęły i wiedział, że ma rację. Ale to nie było takie proste z powodów, które oboje rozumieli, choć żadne z nich nie chciało się do tego przyznać.

W końcu chrząknął, przerywając ciężką ciszę.

— Chciałem tylko powiedzieć, że Ronnie potrafi odróżnić dobro od zła. Gdy już zaznaczy swoją niezależność, stanie się tą samą osobą, którą zawsze była, tak sędzę. Pod zasadniczymi względami tak naprawdę się nie zmieniała.

Zanim Kim zdążyła się zastanowić, jak i czy w ogóle ma się do tego odnieść, przez drzwi frontowe wpadł Jonah. Policzki mu płonęły.

— Tato! Znalazłem naprawdę świetny warsztat! Chodźcie! Pokażę go wam!

Kim uniosła brew.

— Tam, za domem — wyjaśnił Steve. — Chcesz go zobaczyć?

— Jest fantastyczny, mamo!

Kim odwróciła się od nich obu, a chwilę potem znowu okręciła na pięcie.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała. — Tata się bardziej do tego nadaje. A resztą muszę już jechać.

— Już? — zapytał Jonah.

Steve wiedział, jakie to trudne dla Kim, więc odparł za nią:

— Twoją mamę czeka długa jazda z powrotem. A poza tym wieczorem chcę was zabrać do wesołego miasteczka. Nie wolisz tego, zamiast pójść do warsztatu?

Chłopcu nieznacznie opadły ramiona.

— Niech będzie — odrzekł.

*

Gdy Jonah pożegnał się z mamą — Ronnie nie było w pobliżu i według Kim raczej nie należało jej się szybko spo-

dziewać — Steve poszedł z nim do warsztatu, zapadającego się, krytego blachą budynku gospodarczego, który stał na tej samej działce.

Przez ostatnie trzy miesiące Steve spędzał tutaj większość popołudni, otoczony ołowianym złomem i małymi tafłami kolorowego szkła, które oglądał teraz Jonah. Pośrodku warsztatu stał duży stół, na którym leżał rozpoczęty witraż, ale chłopca bardziej zainteresowała dziwna kolekcja wypchanych zwierząt, pozostałość po poprzednim właścicielu. Trudno było nie ulec fascynacji pół wiewiórką, pół okoniem czy łbem oposa przytwierdzonym do korpusu kurczaka.

— Co to ma być? — zapytał Jonah.

— Sztuka.

— Myślałem, że sztuka to malarstwo i tak dalej.

— Owszem. Ale czasami sztuka to też inne rzeczy.

Jonah zmarszczył nos, patrząc na królikowęża.

— To nie wygląda na sztukę.

Kiedy Steve się uśmiechnął, Jonah wskazał okno witrażowe na stole.

— To też jego dzieło? — zapytał.

— Nie, moje. Robię to dla kościoła, który stoi tu niedaleko. W zeszłym roku spłonął i stary witraż został zniszczony.

— Nie wiedziałem, że umiesz robić witraże.

— Wierz albo nie, nauczył mnie tego artysta, który tu poprzednio mieszkał.

— Ten facet, który wypychał zwierzęta?

— Ten sam.

— I znałeś go?

Steve podszedł do stołu i stanął obok syna.

— Jako chłopiec wkradałem się tutaj, zamiast chodzić na religię. Robił witraże dla większości kościołów w okolicy. Widzisz to zdjęcie na ścianie? — Wskazał małą fotografię

zmartwychwstałego Chrystusa, przypiętą do jednej z półek i trudną do zauważenia wśród innych rzeczy. — Mam nadzieję, że kiedy skończę, tak to będzie wyglądało.

— Fantastyczne — skomentował Jonah i Steve się uśmiechnął. Najwyraźniej było to ulubione słowo synka; spodziewał się, że usłyszy je tego lata jeszcze mnóstwo razy.

— Chcesz mi pomóc? — zapytał.

— A mogę?

— Liczyłem na to. — Steve dźgnął go lekko łokciem. — Potrzebuję kompetentnego asystenta.

— To trudne?

— Kiedy się tego uczyłem, byłem w twoim wieku. Na pewno sobie poradzisz.

Jonah skwapliwie wziął kawałek szkła i mu się przyjrzał. Z poważną miną zbliżył go do światła.

— Ja też jestem pewny, że sobie poradzę.

Steve'a znowu to rozśmieszyło.

— Chodzisz do kościoła? — zapytał.

— Uhm. Ale nie do tego, do którego chodziliśmy kiedyś. Tylko do tego, który lubi Brian. I Ronnie nie zawsze jedzie z nami. Siedzi w swoim pokoju i nie chce wyjść, ale gdy tylko zamykają się za nami drzwi, wyłazi i idzie z koleżankami do Starbucksa.

— Tak bywa, gdy dzieci wyrastają na nastolatki. Wystawiają rodziców na próbę.

Jonah odłożył szkło na stół.

— Ja taki nie będę — oświadczył. — Zawsze będę dobry. Ale nie przepadam za tym nowym kościołem. Nudzę się w nim. Więc mógłbym tam nie wchodzić.

— Słuszne rozumowanie. — Steve zamilkł na chwilę. — Słyszałem, że będziesz grał w nogę tej jesieni?

— Nie jestem w tym za dobry.

- Co z tego? To frajda, nie?
- Nie, jeśli jest się pośmiewiskiem.
- Ktoś się z ciebie śmieje?
- Nieważne. Mam to gdzieś.
- Aha.

Jonah przestąpił z nogi na nogę. Coś chodziło mu po głowie.

— Ronnie nie przeczytała ani jednego listu z tych, które od ciebie dostała, tato. I nie chce już grać na fortepianie.

— Wiem — odparł Steve.

— Mama mówi, że to wszystko przez napięcie przedmiesiączkowe.

Steve niemal zakrztusił się ze śmiechu, ale szybko odzyskał panowanie nad sobą.

— A wiesz w ogóle, co to znaczy?

Jonah poprawił okulary na nosie.

— Nie jestem już dzieckiem. To znaczy, że ma syndrom niechęci do facetów.

Steve parsknął śmiechem i zmierzwił synowi włosy.

— Może poszukamy twojej siostry? Chyba widziałem, że idzie w kierunku wesołego miasteczka.

— Przejedziemy się na diabelskim kole?

— Jeśli tylko masz ochotę.

— Fantastycznie.